

Życiorys i wspomnienia Emanuela Zielińskiego

Niniejsza publikacja, opracowana w setną rocznicę urodzin mojego Dziadka Emanuela Zielińskiego, dotyczy jego wspomnień odnoszących się do okresu okupacji. Tekst został opracowany na podstawie archiwalnych rękopisów zgodnie z oryginalną pisownią, ale w kilku miejscach został uzupełniony o ustne relacje Dziadka oraz wprowadzone zostały do niego korekty, dla uzyskania lepszej jasności przekazywanych treści.

Życiorys

(spisany po 1947 r. i uzupełniony zapisem usnych relacji z 1970 r.)

Urodziłem się dn. 25. 12.1909 r. w Zawierciu. Moi rodzice byli wyznania Rzymsko-Katolickiego - matka Elżbieta z domu Skowrońska zajmowała się gospodarstwem domowym, a ojciec Ludwik Zieliński pracował jako robotnik w Zakładzie Przędzalni Bawełny w Zawierciu. Ja również po skończeniu podstawówki i dwóch klas szkoły handlowej w Krakowie, z powodu braku pieniędzy na dalszą naukę, zmuszony byłem pracować w tej fabryce. Pracowałem tam dwa lata od 1925 r., też jako robotnik. W 1927 r. zostałem zwolniony z fabryki i przez trzy lata pozostawałem bez pracy. W 1930 r. rodzice założyli dla mnie mały sklepik spożywczy. W roku 1932 ożeniłem się ze Stanisławą Elżbietą z domu Glezner, a 4.10.1932 r. urodziła się nasza córeczka Teńka (Teresa), dokładnie rok później 4.10.1933 r. jej młodszy brat Włodek. Ze sklepiku oboje utrzymywaliśmy się do wybuchu wojny. W dniu 18.09.1940 r. zostałem aresztowany przez Gestapo za działalność polityczną (w tajnej organizacji niepodległościowej „Płomień” – JW.) i wywieziony do więzienia w Opolu. Po pięciomiesięcznym pobycie w tym więzieniu w dniu 14.02.1941 r. zostałem przewieziony zbiorowym transportem do obozu koncentracyjnego KL Auschwitz. W obozie tym - oznaczony jako więzień polityczny (P.Pole) z nr 10424 przebywałem do roku 1944. W oświęcimskim obozie uwięzieni zostali również jako więźniowie polityczni (za tą samą działalność - JW) mój brat Julian i ojciec. Juliana Niemcy zamordowali zimą 1943 r. – był rozebrany i oblewany lodowatą wodą na kilkudziesięciostopniowym mrozie, a ojciec został zwolniony z obozu tylko z powodu zaawansowanego raka gardła – zmarł zaraz po zwolnieniu z obozu. Ja obóz ten przeżyłem dzięki udzielonej mi pomocy przez tajną organizację obozową. Po ciężkich torturach i karze chłosty (minimum 25 uderzeń drewnianą pałką - JW.), kiedy straciłem mięśnie prawego uda, towarzysze z organizacji umieścili mnie 10.11.1942 r. na oddziale chirurgii szpitala obozowego – blok 21. Z obozu w Auschwitz zostałem przeniesiony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen z nr 114683. W tym obozie przebywałem do marca 1945 r., kiedy to w obliczu zbliżającego się frontu i Armii Czerwonej Niemcy zarządzili ewakuację obozu na zachód do Szwerina. Z Oranienburga-Sachsenhausen wymaszerowało nas 33.500 więźniów, wielu zostało po drodze zastrzelonych i zmarło z głodu i wycieńczenia, a jedynie 18.000 doszło do Szwerina, gdzie w maju 1945 r. wyzwoliły nas wojska amerykańskie. Aby przetrwać ten upiorny marsz (*Marsz śmierci w Branbengurgii- JW*) żywił się kora z drzew i tłuczonymi na kamieniach kośćmi. Z powodu braku wody zmuszeni byliśmy pić własny mocz. Wielu zmarło już po wyzwoleniu z powodu chorób. Widziałem też kolegów, którzy umierali w straszliwych boleściach, bo najedli się surowej kaszy i grochu wykradzonych z amerykańskich samochodów dostawczych. Po wyzwoleniu rozpoczęliśmy powrót do domów i do kraju. Jednak jakiś czas nabieraliśmy sił w napotkanych niemieckich domach. Wyglądało to mniej więcej tak, że kilku do kilkunastu więźniów zajmowało upatrzony duży dom. Ze wstydem i wyrzutami sumienia to mówię, ale bezlitośnie wypędzaliśmy mężczyzn, a Niemki pozostawały z nami jako gospodynie, a dla niektórych jako kochanki. Do kraju powróciłem 7 czerwca 1945 r. Od 17.10.1945r. zatrudniony zostałem w Hucie Zawiercie na wydziale stalowni jako planista.



Wspomnienie męczeństwa księdza Bolesława Wajzlera

(napisane prawdopodobnie zaraz po 1947 r.)



Dnia 18 września 1940 roku zostałem aresztowany w grupie 57 osób przez Gestapo w Zawierciu. W tej grupie był także proboszcz kościoła p.w. św. Ap. Piotra i Pawła w Zawierciu, Ksiądz Wajzler. Aresztowali nas rano o godz. 6 i zaprowadzili nas na ul. Chmielną, gdzie mieściło się Gestapo. W piwnicy ustawiono nas twarzą do ściany, a z tyłu za nami przechadzał się szef Gestapo o nazwisku Koch (?) i uderzał nas ręką w głowę, tak że głowa odbijała się od ściany co zostawiało ślady na czole w postaci guza. Po spisaniu naszych personaliów przewieziono nas do więzienia w Opolu. Do Opolu jechaliśmy autami. Ksiądz Wajzler z nami nie jechał, bo Jego zabrali parę minut przed nami i wywieźli w osobnym aucie, jak się z Nim przez drogę obchodzili nie wiem. W więzieniu w Opolu stojąc na korytarzu, zauważyłem tylko tyle, że Ksiądz Wajzler razem z dozorcą więziennym przeszedł przez korytarz i stanęli przed drzwiami celi, dozorca otworzył drzwi i wpuścił do środka Księdza zamykając za Nim drzwi. Siedzieliśmy w więzieniu w Opolu przez 5 miesięcy, przez ten czas widziałem Księdza kilka razy, ale z nim nie rozmawiałem, bo nie było sposobności – zauważyłem, że był pogodny i dobrego ducha, a także przed obsługą więzienia nie żalił się wcale. Przy przesłuchaniach nie byłem razem z Księdzem i nie wiem jak się z nim obchodzili, bo co do mnie i innych kolegów zbytnio dobrze nas nie traktowali.

Po zakończeniu śledztwa pewną część ludzi pozostawili w więzieniu do rozprawy sądowej, to jest tych, którym udowodnili przynależność do tajnej politycznej organizacji i rozpowszechnianie nielegalnych pism, a pozostałym z tych ludzi, co się na śledztwie nie przyznali do winy i nic im nie mogli udowodnić, wydali im akty oskarżenia jako ludziom niebezpiecznym - pozostawienie ich na wolności *szkodziłoby interesom państwa niemieckiego, a także niemieckiej ludności cywilnej*. Wobec tego tych ludzi trzeba było unieszkodliwić wysyłając ich do koncentracyjnego łagru w Oświęcimiu zwanego przez nich Auschwitz. Akt oskarżenia dostaliśmy dnia 20 lutego 1941 roku. Z rana otworzyły się drzwi celi i dozorca wywołał kilka nazwisk. Padło również moje. Zabrałem swoje rzeczy. Wychodzę na korytarz i widzę, że stoją w szeregu moi współtowarzysze niedoli, a pomiędzy nimi Ksiądz Wajzler. Po sprawdzeniu i wyczytaniu naszych nazwisk – było nas razem 12, nadjechała karetka więzienna i po wydaniu nam po kromce chleba, wsiedliśmy do karetki i pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Pociąg już stał na dworcu i oczekiwał na nas. Załadowani, stłoczeni w przedziale jechaliśmy przez parę godzin przez Gliwice do Bytomia. W Bytomiu pod eskortą policji zaprowadzono nas do więzienia policyjnego, do cel, które były całkowicie przepełnione i tam z powodu braku miejsca przestaliśmy do rana. Rano każdy z nas otrzymał po kromce chleba i zostaliśmy wysłani do Krakowa.

W Krakowie przy dłuższym postoju pociągu, jeden z kolejarzy, współczując nam, obdarował nas papierosami, za co miał zostać, na żądanie dyżurnego ruchu, aresztowany przez żandarmerię, jednak przy usilnej naszej gremialnej prośbie, została mu kara za pomoc okazaną więźniom Polakom darowana. Na ostatnim naszym etapie wędrówki z Krakowa do Oświęcimia prosiliśmy Księdza Wajzlera by zjął sutannę, czego nam kategorycznie odmówił. Przed dojściem pociągu do Oświęcimia, policja kolejowa, która mówiąc szczerze względnie z nami się obchodziła, ostrzegła nas by na postoju w Oświęcimiu wysiadać bardzo szybko, nie zrażać się tym, co może ewentualnie nastąpić.

W chwili, gdy pociąg zwalniając dochodził do stacji Oświęcim do wagonu dopadło kilku SSmanów i bijąc nas pałkami i kopiąc wygnali nas na peron, gdzie znajdowały się psy, które gryzły i szarpały nasze ubrania i ciała. Następnie ustawili nas piątkami i ostrzegając, że kto będzie chciał uciekać zostanie zastrzelony, prowadzili nas do łagru w nocy (o godz. 23 lub 24). Brnęliśmy w błocie około trzy kilometry. W piątce, której ja byłem, był również Ksiądz Wajzler. SSmani poznawszy po sutannie Księdza wyprowadzili go z szeregu wrzeszcząc i urągając mu, wyśmiewając się z niego, bijąc i kopiąc go, prowadzili go na końcu tego smutnego pochodu aż do łagru. Do łagru na własnych barkach przynieśliśmy trzech ludzi zбитych do utraty przytomności przez tych kilkunastu oprawców. Przed bramą odliczyli nas i w chwili wkroczenia na teren naszych mąk oświetlono reflektorami błotnisty dziedziniec. Padły komendy: *padnij, powstań, padnij, czołgaj się*. Ci, którzy źle wykonywali rozkazy tych oprawców byli kopani i bici kolbami karabinów. Tak, czołgając się po błocie dotarliśmy do łaźni. W łaźni na mokrej i zimnej posadzce przesiadaliśmy do rana.

Rano przyszedł Kapo ze skrzynką i zażądał od nas pod surową karą oddania wszystkiego, co posiadamy przy sobie – chleba, papierosów itp. Po odejściu Kapo zjawili się SSmani rozkazując nam wszystkim rozebrać się. Z kolei nastąpiło strzyżenie włosów przy pośmiewisku, urąganiu, biciu i kopaniu przez oprawców. Oprawcy ci poznawszy znowu Księdza Wajzlera po sutannie, odprowadzili go w róg sali i znęcali się nad nim, bijąc i kopiąc go po twarzy i żołądku. Następnie wprowadzili nas do drugiej sali. Tam wybrali kilku spośród nas z Ks. Wajzlerem, kazali im kucać puszczając zimową porą zimną wodę na głowę. Trwało to od 3 do 5 minut. Szczególnie długo przetrzymywali Księdza Wajzlera. Po przejściu tej gehenny i oddaniu naszych ubrań, otrzymaliśmy cienkie drelichowe ubrania w pasy i treпки drewniane bez skarpetek i czapek. Przy spisywaniu personaliów Ks. Wajzlera jako kapłana odciągnięto na bok i bito już w nieludzki sposób obu rękami na zmianę. Twarz Księdza, której by nikt nie rozpoznał, przedstawiała jedną bryłę zaskorupiałej krwi.

W trakcie dalszego spisywania personaliów znaleźli pośród nas Żyda, wtedy oprawcy odstępili od Księdza i bili (Żyda) tak długo aż prawie konającego wypuścili ze swych rąk. Skorzystał z tego Ksiądz Wajzler i wstąpił w nasze szeregi. Znalazł się znowu przy mnie, gdzie mu podałem własną chusteczkę, którą obcierał krew z twarzy, trzęsąc się i chwiejąc na nogach. Po dokonaniu spisu SSmani odeszli dając rozkaz starszemu Kapo by nas trzymał przez 15 minut w kuckach. Z kolei kazano nam przyszywać sobie numery (byliśmy ludźmi bez nazwisk – tylko Nr, Nr) i uczyć się wymieniać je w języku niemieckim oraz uczyć się śpiewu także w języku niemieckim. Czynności te trwały do wieczora. Wieczorem przy potęgującym się mrozie wypuszczono nas, tak źle ubranych na dziedziniec, na apel, który trwał 3 godziny. Po apelu otrzymaliśmy po kawałku chleba i udaliśmy się na spoczynek, gdzie spaliśmy na pryczy przy otwartych oknach, mając jeden cienki koc na dwie osoby.

Następnego dnia, po apelu, który trwał około 1 godziny bez śniadania (niektórzy otrzymali trochę czarnej gorzkiej kawy), uczono nas znowu piosenek w języku niemieckim, każąc nam jednocześnie nosić dwie płyty cementowe w 20 ludzi, od bramy więziennej na drugi koniec łagru, przy krzykach i biciu. Płyty do bramy donosili nam starzy więźniowie niosąc je w 32 osoby. Tak pracowaliśmy cały dzień z przerwą apelową, w której każdy z nas kucając musiał przymusowo zjeść obiad składający się z 1 litra brukwi. Po całodziennym trudzie, po apelu, trwającym co najmniej trzy godziny, otrzymaliśmy po kawałku chleba i udaliśmy się na wyżej opisany spoczynek.

W trzecim dniu naszego pobytu przydzielono nas do prac przy budowie baraku i placu przed dworcem. Wspólnie z Księdzem Wajzlerem nosiliśmy belki i różne inne wiązary.

W czwartym dniu Ks. Wajzler przez ciągłe noszenie ciężarów, poodpażał nogi, które krwawiły. Prosiłem Księdza by zwrócił się na izbę chorych, aby chociaż opatrzyć nogi. Ksiądz kategorycznie odmówił, a nawet odmawiał sobie racji chleba, dając ją swoim współtowarzyszom niedoli.

Po kilkunastu dniach takiej pracy, fizycznie całkowicie wyczerpany i wynędzniały zostałem przyjęty jako chory. Po trzech dniach widziałem znowu Ks. Wajzlera przy rozdziale nam naszej bielizny, która nadeszła do bloku. Tam Ksiądz podtrzymywał mnie na duchu bym nie tracił nadziei.

Rozeszliśmy się znowu, Ksiądz na izbę chorych, a my do pracy.

Dwa dni później zaglądałem przez okno do Księdza.

Przez następne dni zaglądnania już Księdza nie widziałem.

Zmarł.¹

Noszenie trupów do krematorium w skrzyni, w której znajdowały się trzy ciała, odbywało się przy akompaniamencie orkiestry (grali tanga i różne inne rzeczy).

Czy prochy były razem do jednej urny zsypywane, czy oddzielnie nie jest mi wiadomym.

Napisał **Emanuel Zieliński, więzień obozów w Auschwitz i Sachsenhausen, zm. 8.11.1972r.**

Opracował: Jacek Wojciechowski

¹ 8 marca 1941 r. - JW